

giej strony grozić. Niechaj przybywa!... Na okopy! Na wały!

Warszawa na to strzeliste zawołanie drgnęła i runęła do sypania wałów!

I dnie nastały niesłychane, niebotyczne, wiekopomne!!

Niewiasty, dzieci, starcy, księża, kto w Boga wierzył, czy nie wierzył, ten biegł na sypanie okopów... I na okopach dziwy, dziwy.

Cechy z chorągwiami, muzyki, feretrony, kropidła, śpiewy, hukania. Kopacze narodowi wystrojeni, kwiatami przybrani, ochota, zapal — co rydelek odrzuci garstkę ziemi, to się przypiętą doń karkadką skłoni.

Wiekopomne dni! — Od świtu Warszawa, rozrzucona własnem poświęceniem, własną cnotą, pędzi ku swym szansom, żłobi wądoł przepastny, łzami radości leje, że najwęższe rączyny do grabarstwa się rwą.

A dopiero budujących przykładów wypominać! Wysiadł z pojazdu sam książę, ujął za rydel i śmignął kopystką ziemi na garb wału! — Z półtora tysiąca ludzi spiękało się na bo-bry.

Zajechała dama, a z nią drab w barwie z łopatką. Drab piastował w niedźwiedzych łapach parasolkę i szkiełka, a dama podczas wydlubania tyli dołek, że w nim piesek, co naszczekuje na swą panią z karyolki, mógłby się ułożyć! Jak tu nie wiwatować: „Niech żyje ojczyzna!”

Larum na ulicy, zgietk, ścisk, głowa przy głowie.

Procesya nie procesya.

Idą męże w oznakach godności ze sztandarami, kotłami, litaurami, srodzy, uroczyści, natchnieni. Idzie cała municypalność. Ludek gęby drze ze zdumienia! Toć dygnitarze, bogacze, jakby to, co w skarbonach mają na kupę złożyć — che, che! toby akurat dwa razy tyle żołnierza polskiego można wyszyftować! I cóż oni? A toć i oni, ci potentaci idą, aby czelusć, otaczającą Warszawę, choć o kilkanaście rydelków pogłębić. Niech potomność wielbi cnotę cnotami.

Wiekopomne dni, pracowite dni. Bo i zmierzch nawet nie był hasłem do spoczynienia. Ileż gdy ostatnia kompania ludu wracała z szanów, już teatry zapalały swe światelka.

Więc, kto jeno mógł, ten śpieszył krzepić serce „Fra diavolem”, „Wolnym strzelcem”, „Wiarusem” — a radować się nowej przysięgą o „miotłach, miotłkach” w „Chłopcach milionowym”.

Dni tych wiekopomnych było coś dziesięć. I byłoby ich może i drugie tyle, bo zapal patryotyczny miał jeszcze zatrzęsienie wspaniałych pomysłów na nowe pochody, loterye, posiedzenia uroczyste, fety, bo poeci warszawscy, aktorzy i Demostenesowie tyle, tyle jeszcze mieli wierszów, mówek, pięknych myśli, kunsztownych apstrof do odczytania, wygłoszenia, odgadania — tak, byłoby dwakroć więcej tych dni epokowych, gdyby nie zgrzyt ponury, straszny, który z poza Niemna nad-szedł...

Korpus Giełguda, korpus, który na Litwę poszedł rozpalać żagwie rewolucji, który ruszył na wzmocnienie trwającej tam od dawna partyzantki, który miał ją wzmocnić, zagrzać, na tyłach armii rosyjskiej okrutną wywołać dywersję, pozbawić tę armię żywności, furazów, magazynów, posiłków, zniewolić ją do rozproszenia sił — ten korpus z bronią w ręku, z pełnymi patrontaszami, przeszedł granicę pod Gożdami i poddał się Prusakom.

Ten korpus, który był nadzieją i ufnością ludu, kalkulacją sztabu, wiarą, że hen, na Litwie i Żmujdzi łopoczą polskie sztandary, że tam, między Dźwiną i Niemnem, wtóre gorzej ognisko, że walka, że rozprawa nie da się już w ramionach Wisły, Narwi, Pilicy i Wieprza zdławić, że nawet w chwili otoczenia, w razie opasania, w godzinie rozpacz, jeszcze tam, na Litwie, tam na Żmujdzi — pieśń legionów brzmieć nie przestanie — ten korpus się poddał! Siedem tysięcy żołnierza dzielnego, karnego odeszło, karabin porzuciło dla kija zebraczego! Ci, co mieli być podtrzymaniem, podporą gromad litewskich woluntarzy — ci stali się ich zgubą, ci bowiem garnącego się do nich ochotnika powiedli na tułactwo.

Kłeska, nieszczęście, cios, cios, przechodzący pojęcie!!

Stanęli nad Niemnem, porwali mrowie, najnieufniejszych ocknęli do wysiłków, do poświęceń, zakleli się, że raczej legną pokotem, raczej własnymi ciałami nowe kurhany dźwigną, zakleli się i cofnęli się, jak odstępcy, jak tchórze, jak najmici!

Tak, miesiąc cały przysięgali i swarzyli się między sobą o strategiczne racje, a zgodzili się ze sobą — ale wówczas, gdy szło już tylko o dziadowski honor, o „godne” złożenie broni i oczywiście nie przed nieprzyjacielem — och, przenigdy! — lecz przed pruską potencją.

Landrat był rozjemcą polskich sztabowców, polskich generałów, polskich bohaterów, męczenników. Siedm tysięcy ludu zdrowego, silnego, zwartego powędrowało w świat na poniewierkę, na zagładę, na chępienie się imieniem obrońców tej samej ojczyzny, którą opuścili. Na udawanie, że nie ci, którzy tam, na ruinach, na mogiłach i zgłiszczach orzą, sieją i budują, mają prawo do stanowienia, do zasługi, do honoru, lecz oni tylko, oni, co tyle

Giełguda, szkoda korpusu, — ale, ale teraz stanie się tak, że i bez wojska, co należy będzie. A będzie, bo musi być. Najpierw ze sprawiedliwości; dalej, że Kongres wiedeński jest taką siłą, taką potęgą niewzruszoną, iż gdyby litereczce kto ważył się uchybić, na tegoby cała Europa z armatami; dalej jeszcze, że otóż w tym Kongresie stoi napisano, co należy, z czego wynika, iż nawet rewolucja była i dla Kongresowej racji także; no, a na koniec idą trzy potencje i koniec! — Jedna dyplomacyjna epistoła i ho-ho! Paszkiewicz za Wisłę umknie i dopieroż zacznie się paktowanie. I w tem właśnie tkwi sęk, by się trzymać ostro, by nie ze swego nie ustąpić, by twardo stać.

I delegacje izby poselskiej snuły polityczne wody, rozprawały głęboko pisemka — a najnieufniejsi nabierali szacunku dla owych zacnych potencji.

Tymczasem te dobre nowiny nie przybywały same. Bo oto z Radzimina nadjechał ordynans generała Dembińskiego z wiadomością, że Dembiński ocalał, że dobył się z matni, zastawionej na Giełguda, że wprost z pod Kurszan, ze Żmujdzi ruszył przebojem, że pięćdziesiąt stoczył bitew, utarczek, lecz nie uległ, nie poddał się, nie myślał nawet szukać pruskiej łaskawości i wracał do stolicy, do Warszawy! — On jeden prawy, hardy, nieugięty Dembiński!

I Warszawa zatrzęsała się od wiwatów i rzuciła na uhonorowanie bohaterów generała.

A było zaiste za co Dembińskiego witać. Z pod Rygi się dał, lasami, puszciami, błotami się przedzierał, na trzy fronty ucierał się z nieprzyjacielem a czwartym drogę żłobił. Ha, i wytrwał i ani jednego rannego nie uronił, ani jednego nie porzucił, rzucił. Nie dość, nie odepchnął od siebie garnących się doń powstańców, obywateli, uchodzących przed porachunkiem za bunt — półpięta tysiąca ludu przywiódł na Pragę!

I wyjechał Rząd pół mili naprzeciw i uczcił go solennie, na Szmulowiznie hołdy poniosła municypalność, na okopach lud — aż przed pałacem jeszcze raz Rząd. Aleć nie koniec na tem było. Nazajutrz u Karmelitów *Te Deum*, dalej buczny awans na generała dywizji, parada, krzyżów rozdawanie walecznym, Izby solenne obrady, uczty, zebrania i mowy, mowy, mowy.

Dembiński był i Ksenofontem i generałem Moreau, Rząd zdobył się w togi rzymskiego senatu i dowodził poznańskim szwadronem, że są rycerzami wracającymi z bitwy kanneńskiej. Retoryczne figury uczyły co krok powracających, jako Hannibalowe zwyciędły wawrzyny, jako Rzym z Grecją i Troją pospołu nie posiadały równego im zastępu.

Jakoż te racje zgola do przekonania trafiły nawet conajmniej na krasomówstwie znających się żołnierzyków! Bo gdzieby szukać większej ludów, stanów, uniformów, uzbrojenia mieszaniny, niż ją przedstawiał korpus Dembińskiego.

Już sam rdzeń regularnego wojska był wielce różnorodnym, gdyż zawierał po trochu z każdej broni żołnierzy — i strzelców i ułanów, i artylerję i inżynierów — a nadto i kawalerzystów bez koni i piechurów... konnych. Dalej, że za Dembińskim ten i ów plutonik, co zawzięwszy zdołał od Giełguda umknąć i ku Dembińskiemu przez łańcuchy nieprzyjaciół się przedostać — więc regularny żołnierz był sam przez się zlepkiem najprzeróżniejszych mundurów. A dopieroż woluntarze! Tu żmujdzin, tu łotysz, tu litwin owdzie burlak, inflancki posesor i kurlandzki paniczek, akademik z Wilna i klecha z Oszmiany; borowy, co krom lasu świata dotąd nie znał, białorus w łapciach i szlachcic w złotych butach; tu huzar na żandarmskim koniu, owdzie oberwus w dragońskim szyszaku i na kozackiej szkapie; tam jacyś rycerze zakleci w szkarłatnych płaszczach, czarnych kalabryjskich kapeluszach a obok niby naganka magnacka, zielone czamary, baranie czapy i grzebień dwururek! Mieszanina taka, że ani się wyznać, ani dojść, gdzie upieccy, kędy dusiatcy lub nowogródzcy.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Osunął się bezwładny i przybity na fotel.

ucierpieli, oni, co woleli raczej pójść na wygnanie, niż dotrzymać przysięgi.

Warszawa ogłuchła ze zgrozy, z bólu i ledwie pytała o dzieje tej klęski.

Dzieje atoli same nadchodziły, same nastęrczały się...

Cały korpus poszedł na marne, a z nim kwiat oficerów, czoło powstańczych watah i zastęp instruktorów! I generał Dezydery Chłapowski i Rybiński i Szymanowski! Jeden Giełgud został... powalony kulą polską, jako zdrajca!...

I Warszawa przez dni kilka była, jak człowiek, który ciosem złamany, zdruzgotany, nie ma siły ani poskarzyć się ani tchnąć.

Życie atoli, życie roku 1831. miało dla Warszawy jeszcze jeden brzask nadziei.

I oto gruchnęła wieść, że Anglia z Francją i Austrią pospołu już... już interweniuje, że, że, czego oręż polski nie dokonał, czego Giełgud nie umiał, Chłopicki ze Skrzynieckim nie zdołali, czego naród sam niemocny był uczynić — to stanie się, stanie za sprawą Anglii, Francji i Włoch!

I zahuczały znów ulice, kluby, izby sejmowe, radzieckie sale.

Interwencja! Trzy potencje się zebrały! Szkoda